

Moje wspomnienia z czasów okupacji - wysiedlenia  
=====

Urodziłem się w 1929 r. w Gostyniu Wlkp. w rodzinie drobnomieszczańskiej, rzemieślniczo - kupieckiej. W 1934 r. zmarł mój ojciec. Po jego śmierci, matka sama prowadziła sklep kolonialno spożywczy, piekarnię i kilkuhektarowe gospodarstwo rolne. Do 10 roku życia czas mijał mi beztrudno na nauce w szkole podstawowej, plotanych figlach i zabawach dziecięcych z współzrównieśnikami. Dopiero wybuch II Wojny Światowej zakłócił moje dotychczasowe życie i zmienił to wszystko. Pamiętam wkroczenie wojsk niemieckich do Gostynia, rozstrzelanie 30 polaków na Rynku i pierwsze wysiedlenia, które miały miejsce w dniu 6 grudnia 1939r. Wszystko to widziałem i przeżyłem osobiście.

-----

W dniu 6 grudnia 1939 r. około godziny 7,00 kiedy ja i moje dwie siostry, bliźniacza i młodsza, leżeliśmy jeszcze w łóżkach usłyszałem mocne pukanie do drzwi frontowych domu i krzyk po niemiecku i polsku otwierać. Po otwarciu drzwi przez naszą gosposię - Jadwigę Knukę do mieszkania weszło 3 Niemców, dwóch ubranych po cywilnemu, jeden w mundurze żandarma i po wypowiedzeniu jak na ironię słowa dzień dobry, jeden z nich poinformował matkę o nakazie natychmiastowego opuszczenia domu i uciekania się z nimi. W trzydziestu minutach zmuszeni byliśmy się ubrać, spakować niezbędne na najbliższe dni rzeczy i żywność. W tym czasie matka straciła całkowicie głowę nic nie powiedziała i nie wiedziała co robić, ponieważ nie mogła tego zrozumieć, że z własnej posiadłości może nas ktoś wyrzucić. Dopiero gospośnia, która służyła u nas od 1927r. zaczęła nas ubierać w ciepłą odzież, pakować niezbędne rzeczy - bieliznę i kołdry oraz żywność i kiedy to po kilkukrotnym ponagleniu zakończyła wyraziła chęć na tułaczkę wraz z nami. Początkowo Niemcy nie wyrażali na to zgody, ale widząc bezradność matki i nasze zachowanie się w stosunku do niej wyrazili na to zgodę.

Obładowani tym co tylko mogliśmy w mieście do plecaków i waliz opuściliśmy rodzinny dom.

Uginających się pod ciężarem zabranych rzeczy zaprowadzono nas do Salki Parafialnej położonej przy ul. Klasztornej, gdzie wraz z kilkunastoma wysiedlonymi rodzinami przebywaliśmy do południa. Po południu kazano nam załadować nasze bagaże na wozy konne i po ich załadowaniu w kolumnie za tymi wozami zaprowadzono nas do oddalonego około 3 kilometrów Konwikt<sup>u</sup> Klasztoru Filipinów na Świętą Górę w Gostyniu.

Przy drzwiach wejściowych do tego obiektu, przy ustawionych stolikach stało kilku młodych Niemców w żółtych koszulach z hitlerowskimi opaskami na rękawach.

Przed wpuszczeniem do środka pod groźbą kary żądali oddania wartościowych przedmiotów - biżuterii, złota i posiadanych pieniędzy ponad określoną przez nich kwotę.

Matka będąc jeszcze pod wrażeniem tego wszystkiego złąkała się i dobrowolnie oddała pierścione<sup>k</sup>, naszyjnik i pieniądze.

Nie zastosowujących się do tego nakazu poddawano osobistej rewizji, a znalezione wartościowe przedmioty i pieniądze zabierano siłą.

Po tej formalności ulokowano nas w jednym z pokoi Konwikt<sup>u</sup> ale gdy zasiedlono wszystkie pokoje, w miarę przybywania nowych rodzin rozlokowywano je w salkach i gdzie tylko to było możliwe. Skromne wyżywienie zapewniała wszystkim kuchnia<sup>44</sup> klasztorna wspierana żywnością przez obywateli gostwińskich.

Po dwóch dniach pobytu w Klasztorze w dniu 8 grudnia we wczesnych godzinach rannych podstawiono pod Konwikt<sup>u</sup> wozy konne, będące własnością właściciela młyna parowego - Oskara Klimpla. Wozami tymi powoźli polacy znani mi osobiście pracownicy młyna, którzy przed wojną dostarczali mąkę do naszej piekarni i sklepu.

Na wozy te w ustalonej kolejności załadowano nasze bagaże i posadzono osoby niepełnosprawne mające trudności w chodzeniu, między innymi i moją matkę, która miała poważne żylaki na nogach i nie mogła daleko chodzić.

Po wyruszeniu całej kawalkady, jadąc z góry w pewnym momencie konie przy wozie na którym między innymi siedziała moja matka z niewiadomych przyczyn wystraszyły się i ruszyły z miejsca galopem w dół. W połowie góry uderzyły dyszlem w przydrożną kapliczkę i zatrzymały się. Dzięki temu nie doszło do tragedii. Po uspokojeniu się spłoszonych koni, wlokących się za wozami poprowadzono bocznymi ulicami: Nad Kanią, Rzeczną obok pracującej w pełni Cukrowni na dworzec towarowy.



Na dworcu czekał na nas przygotowany pociąg z kilkunastoma wagonami osobowymi, a za opłotowaniem dworca stała dość liczna grupa gostyniaków - znajomych i krewnych, która obdarowywała nas artykułami spożywczymi i ciepłą odzieżą na nie znaną nam wędrowkę. Po załadowaniu wszystkich wysiedlonych, tych przyprowadzonych z Klasztoru i tych których w między czasie dowieziono lub przyprowadzono na dworzec, wypełniony pociąg do ostatniego miejsca siedzącego i częściowo stojącego ruszył pod wieczór w kierunku Leszna, a po krótkim postoju przed Leszmem w kierunku Krotoszyna. Zatrzymał się na parę godzin w pustym polu pod Łodzią. Konwojujący pozwolili w tym czasie małą grupą wyjść z pociągu i zaopatrzyć się w ciepłą wodę z parowozu. W nocy mineliśmy Łódź i zatrzymaliśmy się dopiero na Dworcu Głównym w Koluszkach, który był pierwszym etapem naszej gehenny.

W Koluszkach - w ciemnościach kazano nam opuścić i rozładować wagony, a uginających się pod ciężarem plecaków, waliz i innych tobołków z krzykiem i wrzaskiem popędzono na oddalony o kilkaset metrów mały dworzec kolejki wąskotorowej.

W pośpiechu wielu niektóre rzeczy pogubiło inni nie mogąc ich unieść pozostawić na peronie lub w pociągu.

Kiedy zmęczeni doszliśmy na tą stację, jak śledzi w beczce załadowano nas do małych wagoników osobowych, którymi zawieziono do Rawy Mazowieckiej. W Rawie Mazowieckiej byliśmy krótko przed północą gdzie rozładowano nas z wagonów i uformowano kolumnę marszową, którą poprowadzono peryferyjnymi ulicami miasta do miejscowego Browaru. W pomieszczeniach tego obiektu - dużej hali strudzeni, brudni i zatroskani o dalsze losy legliśmy na przygotowanej słomie, drzemiąc do rana.

W nocy niespodziewanie spadł śnieg i zrobiło się mroźno.

Rano miejscowa ludność przygotowała dla nas skromny posiłek w postaci zupy, chleba i gorącej kawy zbożowej, którą po tak zimnej, mroźnej nocy rozgrzaliśmy się trochę.

Przed południem zajechały pod Browar podwozy - wozy konne powożone przez gospodarzy z wsi bliskich i oddalonych nawet do 20 kilometrów od Rawy. Wcześniej nieznaną mi grupą ludzi dokonała rozdziału wysiedlonych rodzin do wyznaczonych z góry miejscowości - wsi. Wiele rodzin pozostawiono w Rawie Mazowieckiej. Nas przydzielono na małą wieś, której nazwy nie pamiętam w gminie Czerniewice. Przydział miejscowości równał się z przydziałem podwozy z tej wsi. Po przyjęciu tej decyzji do wiadomości odszukaliśmy gospodarza z przydzielonej miejscowości i po załadowaniu naszych bagaży na mały wóz zaprzężony w jednego

wychudzonego konia ruszyliśmy już bez żadnego stróża do miejsca naszego przeznaczenia.

Jadąc w kierunku Czerniewic drogą prowadzącą z Warszawy do Spały, byłej rezydencji Prezydenta Polski, na pewnym odcinku drogi po lewej stronie, w lesie mijaliśmy rozbite części taborów wojskowych i porozrzuconą amunicję.

Do celu zajechaliśmy pod wieczór kiedy już szarzało. Na miejscu przywitał nas sołtys i grono ciekawych gospodarzy.

Przydzielono nam małą 9 metrową, brudną izbę bez podłogi z glinianą polepą, wyposażoną w jedno duże łóżko z bite z desek wymoszczone słomą i piecyk żelazny zwany kozą z którego się strasznie dymiło oraz małą lampkę naftową.

Po rozładowaniu naszych tobołków ledwo żeśmy się w tej klitce w piątkę zmieścili. Strasznie zmęczeni, zmarznięci, głodni i brudni usiedliśmy wszyscy na łóżku. Matkę i naszą gospozię opanowała apatia, nie wiedziały co dalej robić. Po kilkunastu minutach ciszy, kiedy się ocknęły miały zamiar przygotować skromny posiłek z posiadanych resztek żywności. Nie musiały tego jednak robić bo przyszedł sołtys i zaprosił nas wszystkich do siebie na kolację.

Gospodarstwo do którego nas zaproszono składało się z niskich zabudowań drewnianych, a sam budynek mieszkalny z 3 dużych izb - kuchni i dwóch pomieszczeń służących za sypialnię i podręczny magazyn drobnego sprzętu gospodarczego. W kuchni stał duży piec z cegły, a na środku dwie duże wąskie ławy i stołki. Całe pomieszczenie oświetlone było małą okopconą lampą naftową i blaskiem płomieni z otwartych drzwiczek pieca w którym bez przerwy palono chrustem i torfem.

Po wejściu do środka, przywitaniu się z domownikami i przybyłymi na tą okoliczność paroma sąsiadami poproszono nas wszystkich o zajęcia miejsca na stołkach przy ławach.

Na ławy postawiono kilka dużych mis glinianych wypełnionych gorącym mlekiem i kluskami ziemniaczanymi oraz duże pajdy wiejskiego chleba. Następnie podano pokaźne łyżki drewniane, którymi wspólnie jedliśmy z mis - dwóch po jednej i dwóch po drugiej stronie ławy.

Mimo głodu początkowo nas to peszyło, ale patrząc jak wszyscy smacznie zajadali i my się do tego włączyli. Nigdy dotychczas jak i potem nie smakował mi chleb tak dobrze jak tu.



Po kolacji matka i gosposia prowadziły z gospodarzami dyskusję na interesujące ich tematy, a nas troje małych położono spać.

W miejscowości tej byliśmy do połowy stycznia 1940r. pomagając co drugi dzień innemu gospodarzowi w pracach domowych - w kuchni i przy inwentarzu za co otrzymywaliśmy skromne jedzenie. Zdawaliśmy sobie sprawę, że byliśmy na łasce tych ludzi, ale oni nie dali nam tego odczuć, nie mniej było to dla nas upokarzające.

Izbę którą zajmowaliśmy praktycznie była nie do zamieszkania, przez zwichrzone - zwichrowane, niedomykające się okno i drzwi wiało zimno, ciepło było tylko w okół piecyka gdy się w nim paliło. Kładąc się spać przykrywaliśmy się czym tylko było możliwe, a i tak było zimno. Rano kiedy wstawaliśmy woda w naczyniach była zawsze zamrożnięta.

Z uwagi na te warunki w połowie stycznia 1940r. w pogodny ale bardzo mroźny dzień przewieziono nas saniami z całym dobytkiem do wsi Żelechlin w gminie Żelechlinek. W czasie tej podróży z powodu zasp i zawieji śnieżnych parę razy wywróciliśmy się do rowu gubiąc w śniegu niektóre rzeczy. Kiedy zajechaliśmy na miejsce, na okres tymczasowy zakwaterowano nas u jednego z bogatszych gospodarzy w Środku wsi w pomieszczeniu dość dużym razem z sześciuosobową rodziną Karolewiczów z Gostynia, składającą się z chorowanych rodziców, dwóch dorosłych synów i dwóch córek. Za łóżko - posłanie służyła wszystkim podłoga wymoszczona słomą i odgradzona deskami na trzy części, z których dwie służyły do spania, a jedna część jako użytkowa. Wyposażenie części użytkowej składało się z taborców, małego stolika zbitego z niecheblowanych desek i okrągłego piecyka żelaznego służącego do grzania i gotowania.

Matka moja wraz z rodzicami współklokatorów zajmowała się utrzymaniem porządku w izbie i przygotowywaniem posiłków, a pozostali pomagali rolnikom w pracach rolnych za małym wynagrodzeniem, a często za ziemniaki, kasze, mąkę jajka, chleb i tłuszcz. Ja i siostra paśliśmy krowy. Pewnego dnia pojąc krowy w stawie, jedna ze stada będąc krótko spętana głową do nogi zbyt głęboko została przez nas wpędzona do stawu i utopiła się. Mieliśmy z tego wiele nieprzyjemności, ale jak mówi przysłowie "nie ma nic złego, co by na dobre nie wyszło". Właściciel krowy, mięso sprzedał sąsiadom uzyskując za nie więcej pieniędzy niż by sprzedał żywą krowę, a nam ofiarował dużą porcję mięsa, którą mieliśmy na kilka dni.

Nie długo byliśmy tam, bo już w maju przydzielono nam

samodzielną izbę w budynku położonym na początku wsi. Pozwolono też nam zająć starą, prawie rozwalającą się remizę strażacką w której trzymaliśmy ziemniaki, drzewo opałowe i chodowaliśmy króliki - początkowo w klatce, a kiedy się rozmnożyły luzem. Po pewnym czasie nie wiedzieliśmy nawet ile ich jest bo porobiły sobie nory w polepie posadzki i między kamieniami fundamentów.

Utrzymywaliśmy się z dorywczej pracy naszej gospośi u miejscowych gospodarzy i zlewni mleka przy centrifudze. Od tego też czasu podstawowym tłuszczem naszego wyżywienia była śmietana wynoszona przez nią ukradkiem ze zlewni i przechowywana w zamkniętej kance zakopanej w ziemi w remizie w wyniku czego stawała się gęsta jak masło.

W marcu 1940r. wraz z siostrą zaczęliśmy chodzić na naukę religii do oddalonego około 3 kilometrów kościoła parafialnego w Żelechlinku, którego proboszczem był ksiądz dr Witold Skalski. Od tego też czasu jako ministrant służyłem dwa razy w tygodniu do mszy św. i zacząłem śpiewać w churze kościelnym. Po dwóch miesiącach nauki religii, w maju przystąpiliśmy do I-szej Kom. Św. Przystępując do tej uroczystości ubrani byliśmy w po-życzone rzeczy i obuwie, a przyjęcie składało się z paru kawałków placka z okruszami i kawy zbożowej.

W lecie 1940r. matka próbowała handlować cukierkami, hałkami i obwarzankami na odpustach w sąsiednich parafiach ale za bardzo nie wychodziło jej to z uwagi na stan zdrowia i nieumiejętność wprowadzeniu takiego handlu. W cukierki zaopatrywała się u producentów żydowskich w Tomaszowie Mazowieckim oddalonym od nas około 30 kilometrów. Kilka razy szedłem z matką pieszo do Tomaszowa. Wychodziliśmy zawsze około 4-tej rano, a wracaliśmy wieczorem niosąc po kilka kilogramów różnego rodzaju słodyczy.

We wrześniu 1940r. otwarto szkołę podstawową w Żelechlinie do której wraz z siostrą zacząłem chodzić. W szkole uczono nas czytać, pisać z wydawanych co dwa miesiące plomyków oraz rachunków i przyrody. Kierownikiem szkoły był mgr Graczyk, który potajemnie uczył nas historii, i geografii, pożyczał do czytania książki klasyków polskich.

W jednego dnia w październiku 1940r. idąc z kolegami wcześniej rano do szkoły zauważyliśmy w dali <sup>stojąca</sup> kolumnę samochodów wypełnionych ludźmi. Szybko wróciliśmy do wsi i zawiadomiliśmy o tym starszych. Kilkanaście minut później w kroczyli do wsi Niemcy szukając i wyłapując młodych, zdolnych ludzi do pracy w Niemczech, ale nie bardzo im się to udało bo w wyniku naszego ostrzeżenia wszyscy młodzi ludzie schowali się bądź uciekli z domów.



Ponieważ na swój wiek byliśmy wyrosnięci, mnie i siostrę matka ukryła w małej piwniczce pod podłogą. Nic to nie dało bo dociekliwi Niemcy odnaleźli ją i chcieli nas zabrać, ale dzięki znajomości przez matkę języka niemieckiego i jednego Niemca który pochodził z okolic Gostynia nie zabrano nas.

W lutym 1941r. kiedy wysiedlono wszystkich Żydów z gminy i wywieziono ich do getta, opróżnione zostały ich domy i mieszkania. W jednym z takich domów w Żelechlinku dostaliśmy mieszkanie składające się z dużego pokoju i kuchni.

Z początkiem marca 1941r. zakwaterowała w naszej gminie duża jednostka wojskowa, która zajęła na kwatery dwie szkoły w Żelechlinku i Żelechlinie oraz wiele innych wolnych pomieszczeń. Nie wiem z jakiego powodu dwóch żołnierzy niemieckich - kucharzy zakwaterowano w naszej ciasnej kuchni, wstawiając do niej łóżko piętrowe. Co prawda z tego powodu mieliśmy się dobrze, ponieważ wysługując się im, czyszcząc buty i mundury otrzymywałem od nich codziennie pełną dużą konewkę zupy, zazwyczaj była to grochówka z dużą porcją mięsa, bochenk razowego chleba i skondensowaną słodką kawę zbożową. Matka umiając płynnie po niemiecku służyła im za tłumacza między nimi, a miejscową ludnością i władzą. Tak, że w tym czasie mieliśmy co jeść do syta. Wraz z kolegami w moim wieku latałem za nimi patrząc na ich ćwiczenia w polu i musztrę. Po dwóch miesiącach pobytu cała jednostka opuściła gminę i wyruszyła na wschód, a ja z siostrą rozpocząłem naukę w szkole zajętej dotychczas przez wojsko.

Późną jesienią zachorowałem na reumatyzm. Miałem powykęcane w stawach ręce i nogi, tak że nie mogłem sam się poruszać, a każdy ruch sprawiał mi okropny ból. Za swoją potrzebą wysadzano mnie siłą, a ja wyłem z bólu. Wyzdrowiałem dzięki smarowaniu całych kończyn dolnych i górnych balzamen strasznie śmierdzącym i okładaniu świeżo strzyżoną owczą wełną.

Nie długo po tym zachorowałem na tyfus. Podwodą zawiezino mnie do Szpitala w Rawie Mazowieckiej gdzie leżałem około czterech tygodni. Wróciłem do domu dopiero po Nowym roku 1942 na św. Trzech Króli.

Po powrocie do domu z gospożą i starszą siostrą wieczorami chodziliśmy do gospodarzy drzeć pierze. Początkowo podobało mi się to, bo było tam bardzo wesoło, a młodzież żartowała i przygadwała starszym. Zdarzały się też przypadki, że któryś z chłopaków przyniósł ze sobą wróbla i pokryjomu wpuścił do balii z pierzem, które pod jego trzępotaniem fruwało po całej izbie, a gospodyni wściekała się na to. Żarty takie były w tradycji tej wsi.

Zima w 1941/1942 była bardzo surowa, podobna zresztą jak wszystkie zimy w czasie okupacji. To też rzadko w którą zimę z uwagi na brak upału chodziliśmy do szkoły. Planowany materiał musieliśmy przerobić w krótszym czasie do czego zmuszało nas grono nauczycielskie, a szczególnie dyrektor szkoły - mgr Graczyk, który dbał o naszą edukację.

Szkołę Podstawową II stopnia ukończyłem w 1943 i zaraz po jej ukończeniu siostrę i mnie chciano wywieść do Niemiec na roboty przymusowe w ramach kontygentu do którego była zobowiązana gmina. Matka i gospośnia nie chciały nas samych puścić, pojechały razem z nami. Zabrano nas pod koniec września i zawieziono do obozu przejściowego w Częstochowie gdzie byliśmy trzy dni. Po przebytej tam kwarantannie - kąpieli dzieci ze starszymi w jednej łaźni pod natryskami, poddaniu wszystkich rzeczy parowaniu, zakadowano nas do pociągu jadącego w kierunku Wrocławia i wysadzono na stacji w Trachenbergu obecnie Żmigrodzie. Po zameldowaniu w Arbeitsamcie skierowano nas do pracy w majątku ziemskim oddalonym od Trachenbergu około 4 kilometrów - Mansdorfie. Majątek ten dzierżawiony był przez Niemca Zagnera znającego bardzo dobrze język i obyczaje polskie, a jego ekonomem był Bosak zabity hitlerowiec chodzący stale z psem i pejcem których wszyscy się strasznie bali.

Po zakwaterowaniu dano nam odzież roboczą, kartki na żywność i przynależny deputat ziemniaków, kaszy, mleka i węgla na opał. Na drugi dzień rano o godzinie 7,00, apelu wszystkich pracowników tego majątku przydzielono każdemu inną pracę. Mnie przydzielono do pracy z wołami, którymi zwoziłem paszę do bydła i trzody chlewnej, a w razie potrzeby - nasilenia prac polowych bronowałem pola, zwoziłem plony z pól: zboże, rzepak, buraki i inne. Jesienią zwożąc do kopcowania wysadki buraków uległem wypadkowi. Spadłem zwoza pod koła. W wyniku tego mam pękniętą górną wargę, wybite przednie górne zęby i wgnięcioną z tyłu czaszkę. Dwa tygodnie leżałem w Szpitalu w Trachenbergu.

Wraz z nami pracowali w tym majątku jency wojenni Francuzi, którzy w dzień pracowali w polu, a na noc byli zamykani, pracował też jeden student medycyny, który przed wojną ukończył dwa lata studiów. Pochodził on z Miejskiej Górki a nazywał się Wesołek. Bardzo lubiłem tych francuzów, bo dość często ofiarowywali mi słodycze otrzymane z Francji, w zamian zbierałem im ślimaki winniczki, które stanowiły dla nich duży przysmak.

Kilka razy byłem na przepustce w Gostyniu, zawożąc siostrze dzierżawcy tego majątku paczki żywnościowe.



Tym zdobyłem sobie pewną łaskę u niego. Do nikogo nie mówił ón po polsku tylko do mnie, zazwyczaj robił to gdy nikogo nie było w pobliżu. Wyjątek stanowił gdy był strasznie zły to ówczas nie bacząc na nic klął po polsku.

W czerwcu 1944 roku zabrano mnie do kopania umocnień wojskowych, rowów przeciwpancernych i okopów strzeleckich w okolicy Milicza nad rzekę Barycz. Kwaterowałem jeżeli tak można to określić w sasięgach stodoły przy Browarze w Miliczu razem ze 150 ludźmi różnej narodowości - Rosjanami, Ukraincami i Serbami - początkowo na słomie, a później łózkach piętrowych zbitych z desek. Wstawaliśmy o 6,00 rano, myliśmy się na dworze w korytach do których przywożono wodę kufami i po krótkim śniadaniu - posileniu się suchym chlebem i wypiciu czarnej gorzkiej kawy prowadzono nas w grupach do pracy w teren, kilka, a czasami i kilkanaście kilometrów. Zazwyczaj powracaliśmy pod wieczór zmęczeni i utrudzeni kładliśmy się spać zaraz po otrzymaniu swojej porcji żywności. Ze mną w grupie było trzech rówieśników i imienników - mających 13 lat i imię Jan. Początkowo zbieraliśmy chróst i paliliśmy ogniska dla pilnujących Niemców. Gdy zaczął się Niemca palić grunt pod nogami to wraz z innymi musieliśmy kopać rowy przeciwpancerne 6 metrów szerokie i 3,5 metra głębokie, a wyrzuconą ziemię rozplanowywać i przykrywać darnią. W październiku dołączono do naszej grupy mieszkańców Warszawy, wywiezionych z Warszawy po upadku powstania. Mimo tragedii jaką przeszli byli na swój sposób weseli i podczymywali nas na duchu swymi niezliczonymi kawałkami okupacyjnymi, których w tych stronach nie słyszano. Paru z nich nie miało nawet zimowych rzeczy, strasznie marzli, ale mieli za to instrumenty muzyczne - gitary, na których grali wieczorami polskie melodie ludowe.

Co parę tygodni prowadzono nas grupowo do łaźni w celu odwszawienia, a polegało ono na parowaniu wszystkich rzeczy i bez względu na pogodę wkładaniu na ciało. Na ogół nie to nie dało, bo wszy jak nas gryzły przedtem tak i potem.

Pod koniec roku 1944 młodszych Niemców, którzy nas pilnowali zabrano, a w miejsce ich przysłano starych weteranów folksztormu. Mieliśmy się z nimi częściowo lepiej bo byli bardziej tolerancyjni. W połowie stycznia 1945r. przygotowywano nas do ewakuacji w głąb Niemiec, ale połowa z nas uciekła. Ja uciekłem 20 stycznia wieczorem przez dziurę w ubikacji - odsuwając deskę z tyłu. Początkowo nie wiedziałem gdzie się udać, ale w ostateczności skierowałem się nad Barycz, którą przekroczyłem po zrójnowanym moście i udałem się w kierunku towów kolejowych prowadzących z Milicza do Trachenbergu z zamiarem dotarcia do

Mansdorfu wsi w której była moja rodzina - matka siostry i gospościa. Nie znając dobrze drogi myślałem iść nad torami, ale szczęście mi sprzyjało bo po kilkunastu minutach zauważyłem jadący pociąg wypełniony uciekającymi cywilnymi Niemcami, jechał bardzo powoli tak, że mogłem bez żadnego ryzyka wskoczyć do niego. Wskoczyłem na platformę wagonu osobowego na której siedziała starsza kobieta z dwiema dziewczynkami, przysiadłem się do nich - nic nie mówiłem bo nie miałem żadnych papierów i nie bardzo umiałem po niemiecku. Po pewnym czasie na platformę wkroczyło dwóch młodych Niemców w mundurach hitlerjunge i przeprowadzili kontrolę dokumentów tej kobiety, nie zwracając uwagi na mnie zapytali ją, czy te dzieci są jej dziećmi, na co ona bez wahania odpowiedziała, że tak. W ten sposób mając trochę szczęścia iniknąłem kontroli i nie wiadomo czego.

Gdy pociąg dojeżdżał do Trachenbergu wyskoczyłem z pociągu i udałem się do Mansdorfu, gdzie zastałem na miejscu całą swoją rodzinę i szukających się Niemców - gospodarzy z tej wsi i dzierżawcę majątku do ucieczki w głąb Niemiec. Za dwa dni wszyscy Niemcy opuścili Mansdorf, pozostali we wsi tylko Polacy.

Nie pamiętam kiedy to było, ale pewnego dnia rano gospodyni nasza zauważyła zbliżającą się grupę żołnierzy w białych pelerynach ochronnych wyłaniającą się z niedaleko położonego lasu, wybiegła im na przeciw i zaczęła witać jako naszych wybawicieli - wojsko rosyjskie. Wszyscy przeżyliśmy wówczas szok, ponieważ okazała się to grupa uciekających młodych żołnierzy niemieckich. Szczęście mieliśmy w nieszczęściu, ponieważ ci młodzi ludzie byli bardzo rozwścieczeni i chcieli do nas strzelać. Nie wiadomo jak by się to skończyło gdyby nie ich starszy wiekiem dowódca - ślązak, który ich złośliwością uspokoił, tłumacząc na swój sposób nasze zachowanie. Po krótkim wypoczynku, poileniu się tym co im daliśmy ze spokojem odeszli pouczając nas byśmy tego nigdy nie robili, bo mogło by się to źle skończyć gdyby nie taki dowódca jak ich.

Przed południem w grupie kilku osób poszliśmy do Trachenbergu. Na przedmieściu tego miasta zatrzymała nas grupa żołnierzy-czołgistów Radzieckich - brudnych umorusanych w niesamowity sposób. Pierwsze ich pytanie było germańcy, czy nie germańcy. Po uzyskanej odpowiedzi żeśmy Polacy nawet nie legitymując nas puścili nas dalej. Weszliśmy do trachenbergu bez większych kłopotów - patrząc jak część miasta się pali mimo, że nie było tu żadnych walk - mieszkania jak i sklepy stały wszystkie otworem, tak że bez żadnych trudności wszędzie można było wejść i wynieść co by tylko człowiek chciał.



Wracając z Trachenbergu , idąc przez pola zostaliśmy ostrzelani z karabinu maszynowego przez przelatujący nad nami samolot ale nikomu nic się nie stało, pozostały tylko ślady w śniegu.

Po rozeznaniu sytuacji na drugi dzień, - było to nie pamiętam 25, czy 26 stycznia 1945r. załadowaliśmy nasz dobytek na hele - duży wóz i zaprzęgnięciu do niej wołów ruszyliśmy do Gostynia. Przejeżdżając przez Trachenberg widzieliśmy palące się domy, a po drodze, w lasach mijaliśmy rozwalający się sprzęt wojskowy, zabitych - zamrożonych Niemców. Zatrzymaliśmy się na krótki postój w Nieparcie , ale miejscowi gospodarze znający nas odradzili nam jechać dalej, ponieważ przed południem niedaleko Niepartu była walka <sup>była</sup> Niemców z Rosjanami. Słuchając ich przenocowaliśmy w Nieparcie u jednego z gospodarzy i na drugi dzień wcześniej rano wyjechaliśmy do Gostynia. Do Gostynia przyjechaliśmy pod wieczór, dowiadując się, że gdybyśmy przyjechali dzień wcześniej zastalibyśmy w Gostyniu jeszcze wojska niemieckie.

Powróciliśmy na swoje po 5 latach i dwóch miesiącach tułaczki, zastając prawie wszystko zniszczone. Matka z miejsca wzięła się za handel i prowadziła go do 1950 r.

Leszno - 1994 01 10

"KANIA "

© ARCHIWUM WSCHODNIE

II/2148/p